

# PAUza

Akademicka



Rok V

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności

Nr 179

Kraków, 4 października 2012

## Europa, świat, marzenia...

Powoli, z wielkim trudem, próbujemy wydobyć polską naukę z zaścianka, w jaki wepchnęła nas historia, zwłaszcza historia czterdziestu lat powojennych.

Niedawno Profesorowie Stefan Pokorski i Krzysztof Redlich zaproponowali („PAUza Akademicka” 176) wprowadzenie grantów, które umożliwią istotny wzrost liczby młodych badaczy z zagranicy, zatrudnionych w polskich laboratoriach i instytutach. Myślę, że czytelników „PAUzy” nie trzeba przekonywać, jak wielkie znaczenie realizacja tego postulatu miałaby dla promocji polskiej nauki, jej poziomu i jej rezultatów. Tak jak przyjazd milionów kibiców na Euro odmienił obraz Polski w Europie, podobnie przyjazd setek uczonych z całego świata z pewnością odmieniłby obraz polskiej nauki. Jestem przekonany, że w tej chwili to absolutny priorytet.

Ale to nie przeszkadza szukać innych możliwości. Myślę, że jedną z nich jest wzmocnienie naszego udziału w globalnej wymianie informacji. Chodzi o to, że w dzisiejszym świecie, pozornie całkowicie opanowanym przez Internet i wirtualną rzeczywistość, ogromną rolę odgrywają jednak bezpośrednie kontakty. Okazuje się, że dyskusji naukowej twarzą w twarz nie da się niczym zastąpić. Stąd kolosalna proliferacja najróżniejszych spotkań, sympozjów i konferencji. Zwłaszcza tych niewielkich, o ludzkim wymiarze.

Jednym ze sposobów organizowania tego typu spotkań jest tworzenie centrów konferencyjnych, wyspecjalizowanych w różnych dziedzinach nauki (są również centra multidyscyplinarne). W zakresie fizyki wysokich energii

(w której – z natury rzeczy – orientuję się najlepiej) rozbudowana sieć istnieje w Stanach Zjednoczonych. W Europie przodują Włosi (Trento, Florencja, Erice). Nie trzeba dodawać, że takie centrum stanowi również promocję miasta.

Dla niezorientowanych wyjaśniam, że działalność centrum polega na urządzaniu przez cały rok 2–3 tygodniowych międzynarodowych konferencji specjalistycznych lub warsztatów (30–40 osób). Imprezy są proponowane przez tworzone *ad hoc* międzynarodowe zespoły uczonych, którzy w zasadzie organizują całą imprezę. Centrum dostarcza tylko infrastruktury, dysponując lokalem oraz budżetem na skromną administrację i zapraszanie – w wyjątkowych przypadkach – niektórych najważniejszych prelegentów lub studentów. Najważniejsze, aby dyrektorem był renomowany uczyony, który: (i) potrafi wskazać propozycje warte poparcia; (ii) potrafi ściągnąć do współpracy wybitnych specjalistów.

Postuluję wejście Polski na ten rynek, czyli zorganizowanie kilku centrów w wybranych dziedzinach. Dla integracji nauki polskiej z nauką światową przyjazd i 3-tygodniowy pobyt kilkuset ludzi w ciągu roku (w większości na własny koszt), wśród nich wielu wybitnych uczonych, byłby po prostu bezcenny. Oczywiście inicjatywa i organizacja winna należeć do lokalnego środowiska naukowego, bo tylko wtedy centrum ma szansę dobrze działać. Poparcie finansowe resortu jest jednak również niezbędne. Ale to koszt stosunkowo niewielki, a korzyści ogromne.

ANDRZEJ BIAŁAS

# Uczelnie prowincjonalne

Od razu wyjaśniam, że przymiotnika „prowincjonalny” używam jako synonimu dla „lokalny” i bez jakichkolwiek negatywnych konotacji wartościujących, sugerowanych przez inne znaczenia, wskazujące np. na zaściankowość czy małomiasteczkowość. Trzeba jednak zaznaczyć, że lokalność jest mniej lub bardziej względna, np. województwo jest czymś lokalnym w stosunku do całego kraju, ale powiat jest prowincjonalny względem województwa, a gmina – wobec powiatu. Prowincjonalność ma też silny związek z regionalnością. Nie ma co drażyć kwestii semantycznych, ponieważ ustalenie precyzyjnych kryteriów prowincjonalizmu w przyjętym rozumieniu jest raczej niemożliwe, a spektrum nieostrości jest tutaj znaczne. Z drugiej strony, można zaufać świadomości potocznej. Kwalifikuje ona to, co dzieje się w stolicy jako z reguły nieprowincjonalne (centralne); podobnie ocenia się to, co zdarza się w ważnych i dużych miastach, natomiast zdarzenia w powiatach są na pewno prowincjonalne. Wszelako istnienie prowincji i związanej z tym prowincjonalności jest czymś najzupełniej normalnym. Gdyby nie było prowincjonalności, nie było także jej przeciwieństwa, które zresztą nie ma swojej pozytywnej nazwy.

Zgodnie z powyższymi wyjaśnieniami uczelnie prowincjonalne to takie, które mają znaczenie lokalne. Nie jest to jednak kategoria oficjalna. Wedle prawa, uczelnie polskie dzielą się na publiczne i niepubliczne. Oto kilka danych (liczby zaokrąglam; dane z 2011 r.). Ogółem w Polsce działa 470 uczelni, w tym 120 publicznych. Kształcą one prawie 2 miliony studentów, w tym 700 000 uczy się w szkołach niepublicznych. Studentów stacjonarnych jest 900 000, w tym 120 000 w szkołach niepublicznych. Odpowiednio, niestacjonarnych jest 1 milion w uczelniach publicznych i 550 000 w niepublicznych. W 1992 r. istniało 106 uczelni publicznych i 18 niepublicznych. Tak więc w ciągu 20 lat przybyło 26 szkół publicznych (wzrost o 20%) i 320 niepublicznych (wzrost prawie o 2000%). Dzięki temu liczba osób z wyższym wykształceniem wzrosła w Polsce prawie dwukrotnie, mianowicie do 18%, a tzw. współczynnik scholaryzacji (stosunek liczby studiujących do liczby osób w wieku zdolnym do studiowania) powiększył się z 10% do 45%, przy czym udział szkół niepublicznych w tym procesie był bardzo wydatny. Uczelniana kadra naukowa liczy 110 000 osób, z tego 84 000 pracuje w szkołach publicznych, a 16 000 (10,5%) – w szkołach niepublicznych; chodzi o tzw. pierwsze etaty wyłącznie na uczelniach.

Nie jest tak, że uczelnie niepubliczne i prowincjonalne się pokrywają. W Warszawie – miejscu na pewno nieprowincjonalnym – działa ponad 50 szkół niepublicznych i 15 publicznych. Wedle moich prowizorycznych obliczeń (nie podaję kryteriów, aby nikogo nie urazić) 190 szkół niepublicznych ma siedziby na prowincji i działa w 110 miejscowościach. Tak więc prawie połowa (180 na 370) uczelni prowincjonalnych operuje w ośrodkach, gdzie liczba tradycyjnych uniwersytetów lub akademii wynosi przynajmniej 2. Z drugiej strony, co najmniej 40 szkół publicznych ma charakter zdecydowanie lokalny. Można więc przyjąć, że połowa polskich szkół wyższych to jednostki prowincjonalne, działające w około 125 miejscowościach. Nie obliczyłem, ilu studentów jest kształconych w szkołach prowincjonalnych, ale jest ich od 200 000 do 300 000. Tak więc od 10% do 15% polskiej inteligencji kształci się na prowincji. Dodam do tego, że dostrzegam poważną trudność w ocenie zdecydowanej większości szkół niepublicznych (i niektórych publicznych) działających w ponadlokalnych ośrodkach akademickich. Z jednej strony nie działają na prowincji, ale z drugiej strony ich charakter nie bardzo odbiega od szkół prowincjonal-

nych. Jedyne kilka uczelni tego typu ma ambicje i szanse stania się szkołami porównywalnymi z uniwersytetami czy akademiami w tradycyjnym sensie. Reszta będzie zapewne węgnować na marginesie silnych uczelni publicznych i niepublicznych, o ile w ogóle przetrwa. Wiadomo, że prognoza demograficzna zakłada zmniejszenie się liczby mieszkańców Polski. Dla kształcenia ma mieć to taki skutek, że w 2030 r. liczba studentów zmniejszy się do 1 miliona, a więc o połowę.

Spadek liczby studentów uderzy przede wszystkim w szkoły niepubliczne z uwagi na to, że przeważają w nich studia niestacjonarne, ale niekoniecznie uderzy to w uczelnie prowincjonalne. Należy też oczekiwać kryzysu tych szkół, które zostały założone bardziej jako przedsięwzięcia komercyjne, a nie dla świadczenia usług edukacyjnych. Przypuśćmy, że te założenia są trafne. Pierwszą konsekwencją będzie normalizacja rynku kształcenia, na którym pozostaną placówki o już ustalonej renomie lub znaczące z regionalnego punktu widzenia. Po drugie, procent (a nie liczba) studiujących na prowincji będzie większy niż obecnie. Dodatkowym powodem mogą być wzrastające koszty studiowania w dużych miastach, przewyższające czesne za studia niestacjonarne na prowincji. Tak więc niepubliczne szkolnictwo lokalne okaże się trwałym elementem edukacyjnej struktury kraju.

Krytycy uczelni prowincjonalnych, zarówno publicznych jak i niepublicznych, wskazują, że jakość kształcenia w nich jest niższa niż w centrach akademickich oraz że szkoły lokalne nie prowadzą badań naukowych. Na drugi punkt trzeba odpowiedzieć, że byłoby rzeczą zgoła nienormalną, gdyby badania naukowe były silną stroną szkół prowincjonalnych. Nigdzie tak nie jest, wyjąwszy placówki specjalnie stworzone do realizacji wysoko kwalifikowanych przedsięwzięć badawczych. Może to źle, a może dobrze, ale nasza tradycja akademicka nie przewiduje takich zadań dla uczelni prowincjonalnych. Niemniej jednak badania naukowe winny być prowadzone w każdej placówce akademickiej, także prowincjonalnej. Mogą mieć znaczenie dla danego regionu, ale przede wszystkim są ważne dla kadry naukowej i jej zawodowego samopoczucia. Łatwo znaleźć przyczynę tego, że uczelnie prowincjonalne nie prowadzą badań naukowych w stopniu wystarczającym. Jest nią słabość kadry. Przypominam, że tylko niespełna 11% kadry akademickiej pracuje w szkołach niepublicznych na pierwszych etatach, a można przypuszczać, że jeśli chodzi o wszystkie uczelnie prowincjonalne, jest podobnie. Sytuacja nie zmieni się, dopóty nie zostanie przeprowadzona relokacja kadry naukowej w całym szkolnictwie w postaci etatyacji poszczególnych placówek. Każda uczelnia wyższa, publiczna lub niepubliczna, prowincjonalna lub nie, winna mieć własną kadre, a nie opierać się na drugoetatowcach, a ci przypisują swoje prace badawcze szkołom, które są dla nich pierwszym miejscem zatrudnienia.

Podobnie jakość kształcenia w szkołach prowincjonalnych cierpi z powodu braku stabilnej własnej kadry. To również rzecz dobrze znana. Wszelako niejako kręcimy się w kole. Naukowcy szukają dodatkowych etatów, a uczelnie tych, którzy gotowi są pracować na pierwszych etatach. Ministerstwo zaś robi wszystko, aby utrudnić jedno i drugie. Uczelnie prowincjonalne, niezależnie od prowadzenia badań naukowych i kształcenia studentów, mogą stać się ważnym elementem kulturotwórczym dla swojego otoczenia lokalnego. Ale i to zależy od posiadania własnej kadry. Jest więc wiele powodów, aby prowincjonalne szkoły wyższe nie były traktowane jak piąte koło u wozu. Trzeba im pomagać, o ile mają spełniać ważną rolę kulturową i edukacyjną.

# O uniwersytetach, których już nie ma (2)

## 2. Profesor uniwersytetu ...

...był przez wiele dziesiątków lat traktowany powszechnie jako osoba dostojna. Nazwa pochodzi od *profiteor* – wyznaję. Było przyjęte ogólnie, że profesor wykladał to, co jest wynikiem jego własnych badań. Przemyslenia, którym daje kształt ostateczny w wykładach, stanowić mają i powinny nowość w danym przedmiocie. Winne być godne druku. Tematyka wykładów profesora była ogłaszana w prasie, słuchaczami bywały osoby niebędące studentami. Gdy rząd francuski erygował w Collège de France w Paryżu katedrę języków i literatur słowiańskich i objął ją zastępczo (nie miał nominacji podpisanej przez Ludwika Filipa) Adam Mickiewicz (1840), spore było zainteresowanie wykładami poety w polskiej prasie emigracyjnej, również w prasie francuskiej, w listach, np. Juliusza Słowackiego.

Droga do profesury wiodła najczęściej przez habilitację. Do przewodu habilitacyjnego dopuszczeni byli autorzy prac, które przez odpowiednie gremium, najczęściej przez radę wydziałową uniwersytetu, uznane były za habilitacyjne. Nie należało do dobrych obyczajów występować o habilitację, raczej należało poczekać, by rada wydziału na wniosek kogoś z profesorów zaproponowała przedłożenie istniejącej już monografii jako pracy habilitacyjnej. Przewód po formalnościach związanych z dopuszczeniem kandydata obejmował dyskusję habilitacyjną i wykład. Ten miał według przepisów trwać 45 minut, z tym że dziekan miał prawo po 15 minutach przerwać i podziękować habilitantowi. Stał się ten obyczaj regułą. Okazał się jednak zawodny: pewien wybitny uczony habilitujący się na początku wieku XX na Uniwersytecie Jagiellońskim liczył na to, iż będzie prowadził wykład przez 15 minut. Dziekan nie przerwał mu i Rada Wydziału zażądała powtórzenia wykładu po sześciu miesiącach.

Habilitacja nie gwarantowała zatrudnienia na uniwersytecie. O ile przystępował do niej nauczyciel gimnazjalny mający doktorat, obowiązany był dawać uniwersytetowi 10 godzin wykładowych co drugi rok. W praktyce sprowadzało się do tego, że habilitanci – nauczyciele szkół średnich – na uniwersytecie wykładali co drugi rok w ciągu jednego trymestru w wymiarze: 1 godzina tygodniowo. Jeżeli uczyli na prowincji, zjeżdżali na dwa dni (co drugi rok) do uniwersyteckiego miasta i ogłaszali wykłady, 5+5 godzin. Stawało się zadość formalności. Te wykłady były bezpłatne. Jednakże nauczyciel gimnazjalny ze stopniem docenta korzystał z dużej zniżki godzin i w szkole obciążany był jedynie do 8 godzin tygodniowo, a wynagrodzenie otrzymywał za pełny etat. Jeżeli po habilitacji pozostawał w jakiejś relacji z uniwersyte-tem, mogło się w jego sytuacji coś zmienić. Najkorzystniejsze byłoby, by zaraz po przewodzie habilitacyjnym otrzymał zastępczo katedrę z tytułem docenta, oczekują-

cego na nominację profesorską. Zjawiskiem rzadszym były docentury etatowe. Mógł pozostawać nadal asystentem, jeśli zajmował to stanowisko przed habilitacją, i wówczas obowiązywało go 10 godzin wykładów co drugi rok.

Docent posiadał prawo wykładania, zwane po łacinie *venia legendi*, ale nie była to *venia examinandi*; egzaminowanie było przywilejem profesorów, docenci mogli otrzymywać od ministerstwa prawo egzaminowania w wyjątkowych wypadkach, zwłaszcza jeśli obejmowali wolne katedry. W przeciwieństwie do doktoratów, które uzyskiwało się z..., habilitację do..., gdyż zawierało się w tym prawo do wykładania określonej dyscypliny naukowej.



Źródło: Kolegia uniwersyteckie średniowiecznej Europy  
Katalog wystawy Muzeum UJ, Kraków 2007

Nauczanie i uprawianie nauki  
w średniowiecznym uniwersytecie

W wypadku opróżnienia katedry wybierano jednego spośród kilku docentów czekających w kolejce. Jeżeli zasłużony profesor przechodził na emeryturę, mógł otrzymać tytuł profesora honorowego. Był wtedy nadal pełnoprawnym członkiem grona. Mógł, chociaż nie musiał, prowadzić w pewnym wymiarze wykłady i seminaria, mógł uczestniczyć w przewodach doktorskich i habilitacyjnych. Docenci, którzy związani byli z uniwersyte-tem bliższymi więzami, np. stałymi godzinami zleconymi potrzebnymi uczelni (na co istnieć musiały dodatkowe fundusze), mogli po latach otrzymać profesurę tytularną. Ta godność przed pierwszą wojną światową na Uniwer-sytetach Lwowskim i Krakowskim mogła być nawet dwu-stopniowa: zwyczajna lub nadzwyczajna.

Rozróżnienie: profesor zwyczajny – nadzwyczajny datuje się od XIX wieku, gdy pewne katedry były nad-zwyczajne, nie miały m.in. uprawnienia do wydawania doktoratów. Przykładowo: cesarz austriacki zatwierdził w 1817 roku nadzwyczajną katedrę języka i literatury polskiej w niemieckojęzycznym Uniwersytecie we Lwowie, dopiero w roku 1856 stała się ona zwyczajną. (cdn.)

zaPAU

# Ścisłe – nieściśle

Z wiekiem rośnie raczej rój pytań, które sobie zadajemy, niż liczba znalezionych odpowiedzi. Nauki ścisłe pracują w konkretności, *babrzą się w materii*, im wygodniej. Humanistyka za to próbuje schwytać ducha ludzkiej myśli, złowić imponderabilia, a więc co *nieuchwytnie* i *nieściśle*? Czy wystarczy do tego hochsztaplerstwo i trochę intuicji? Dzisiaj przed uczonym (przepraszam, *naukowcem*) staje trudne wyzwanie, a mianowicie pani księgowka. Nauka bowiem kosztuje coraz więcej, musimy się starać o granty, czasem dostajemy i trzeba się rozliczyć co do grosza, zdobywając punkty. Inaczej mamy kłopot. Jak jednak zważyć ducha (po niemiecku nazywano to wszystko *Geisteswissenschaft* – „nauka o duchu”), żeby rozliczyć się z pobranej sumy, udowadniając, że Mickiewicz waży o czterdzieści punktów więcej niż Mochnacki? W dawnych dobrych czasach profesor Stanisław Tarnowski posiadał piękny pałacyk na Szlaku i parę morgów pod Krakowem, nie musiał prosić o zapomogę w ministerstwie. Kiedy jednak stajemy przy kasie, zaczynają się twarde schody. Miłe złego początki, ale kto płaci, ten wymaga. Wyma-

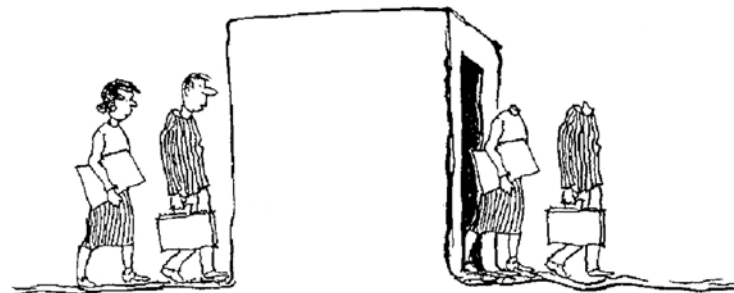
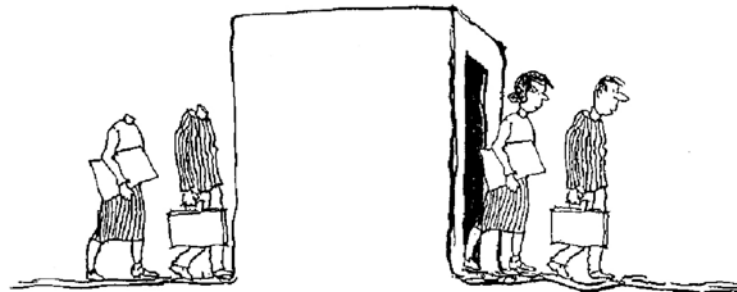
ga rozliczenia w liczbach? Zaczyna się *cyfracja* kultury? *Gięda*? Albo biurokratyzacja? *Spiritus flat ubi vult* („Duch tchnie, gdzie chce”) – a może tam, gdzie mu zezwola, czyli zapłacą?

W gruncie rzeczy zmierzamy ku coraz głębszej profesjonalizacji, uzawodowieniu nauki, ale to znaczy, że gubimy gdzieś rzecz bardzo istotną, a mianowicie poszukiwanie *Prawdy* (wielką literą). Stajemy się usługową ekipą wynajmowaną do różnych zadań przez kogoś z zewnątrz? Władzę polityczną? Władzę pieniądza (*tycoons*)? Zamiast misji, powołania, owego poszukiwania *Prawdy dla prawdy* w izdebce na poddaszu, wpisujemy się w to, co się wie, co się pisze, co się mówi, by zrobić jak najszybciej doktorat, habilitację, w sumie karierę. Wspiąć się? Ludzkie, prawda, któż by nie chciał.

Te narzekania zakończę morałem dla młodzieży: nie da się żyć, zobaczycie to sami *niedługo*, w świecie, gdzie znikło poczucie misji, służby, ofiarności, gdzie lekarz nie leczy, tylko zarabia na leczeniu, gdzie nauczyciel nie uczy, tylko zarabia na uczeniu, gdzie uczoney... itd.

JAN PROKOP

## Życie według Adama Korpaka



PAUza Akademicka – [www.pauza.krakow.pl](http://www.pauza.krakow.pl) – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Aleksander Koj, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Jerzy Vetulani, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak – grafika; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: [pauza@pau.krakow.pl](mailto:pauza@pau.krakow.pl)

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania artykułów i korespondencji oraz zaopatrywania ich własnymi tytułami. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.